Przyjaciel Ludu.

ROK DWUNASTY. **No. 19.** Leszno. *dnia 8. Listopada* 1845.

Panowanie Augusta III. i ówczesne obyczaje.

(Ciąg dalszy.)

O pielgrzymach. Przez cały wielki post widzieć można było po wszystkich parafialnych kościołach i klasztorach, na mszą wielką i na nieszpory wchodzącą processyą Kapników, na których czele jeden niósł krzyż z figurą Zbawiciela ukrzyżowanego, a kończyli processyą dwaj Kapnicy, z laskami czarno-malowanemi; ci wszedłszy do kościoła parami, w dwóch rzędach klęknąwszy, wzdłuż kościoła rozciągnęli się krzyżem, kładąc się na ziemi, z dyscypliną w ręku. Ci Kapnicy okryci byli worem z grubego płótna różnego koloru, szeroko zrobionym, otwór mającym na plecach, dla łatwiejszego obnażenia plecy za podniesieniem zasłony zakrywających ten otwór, głowę nakrywali workiem kończatym u góry, z dziurami na oczy i prosto ust dla oddychania, z kołnierzem spadającym i przykrywającym ramiona. Ci Kapnicy, za uderzeniem laską na ziemię przez Kapników kończących ich processyą, kładli się krzyżem na ziemię, wstawali, podnosili zasłonę z pleców, zaczynali się biczować i przestawali.

Jedni mieli dyscypliny rzemienne z przypiekanemi końcami, drudzy mieli dróciane, a niektórzy z przyprawnemi metalowemi gwiazdeczkami na końcu, co ciało rwało; tak się zaś mocno biczowali, że blisko nich w ławkach siedzących, lub klęczących krwią pluskali, na co było przykro i obmierzle patrzeć. W Wielki Piątek takaż processya z Kapników obchodziła stacye ze śpiewaniem o męce Pańskiéj, biczując się przy każdéj stacyi. Jednego z Kapników ubierano w komżą i w kapę, którą Księża do processyi używają, na głowę jego kładziono welum od kielicha, a potém z ciernia uplecioną koronę. Ten Kapnik miał wyobrażać naszego Zbawiciela, niosącego krzyż na górę Kalwaryą, dla czego z drzewa dosyć ciężkiego miał położony krzyż na ramieniu, z tym postępując krok za krokiem, przyklęka jedném kolanem, Kapnik zaś unoszący koniec tego krzyża, łańcuchem przybitym do niego, bił weń, mówiąc za każdém uderzeniem: „Postępuj Jezu.“ Tegoż dnia po wszystkich kościołach w różne wzory, różnemi konceptami, ubierano groby Pańskie, co miało minę teatralnych reprezentacyj. Te groby od kościoła do kościoła chodził odwiedzać lud obojéj płci, przez Wielką Sobotę aż do resurrekcyi, w czém mało było nabożeństwa, a romansów wiele.

Na Boże Narodzenie, Nowy rok, i Trzech króli, stawiano w kościele różne figury, które miały prezentować tajemnice Narodzenia, obrzezania i przybycia trzech Króli z darami do Betlejem; w tych widzieć można było budowane szopy, stojące w nich muły, osły, woły, tamże i pastuszki w różnych ubiorach i osoby do tych tajemnic należące z aniołami, i zwali to j a s e ł k i, które odwiedzał lud i obywatele, tak jak groby w Wielki Piątek i w Wielką Sobotę, a Księża, Zakonnicy i Zakonnice sadzili się na przepych tych jasełek, przywięzując chlubę z tąd dla siebie, czyje ładniejsze były. Widziałem te jasełka otoczone ludem klęczącym i modlącym się, nie zważając na Najświętszy Sakrament na ółtarzu wielkim wystawiony.

Wszystkie miasteczka prawem Magdeburyi rządziły się. Sędziowie, nie umiejący ani czytać, ani pisać, sądzili sprawy czarodziejstwa, brali na tortury oskarżonych, i to tak było upowszechnioném, że choćby winny przyznał się do występku, i był skazany na śmierć, zawsze wprzódy na tortury był brany, dla wydania wspólników; palono czarownice i czarowników, ludzi razem z bydlętami, ćwiczono publicznie pod pręgierzem matki bezżenne; z tąd poszło, że wiele dzieci tracono, a wszystko to zrządzał duch fanatyzmu, wpajany przez Zakonników i Księży.

Można było spostrzegać pielgrzymów w właściwych ich sukniach, idących do Komposteli, Jerozolimy i Rzymu, a wracając się przynoszących z sobą dostatek relikwiarzy, Agnus Dei, paciorków i metalików. Znałem Pana Wolskiego, pielgrzyma, któren wstępował do ojca mego; ubrany był w żupanie aksamitnym czarnym, krzyż na lewym boku czerwony, podszyty lamą srebrną, na bótach krzyże haftowane, przy płaszczu na srebrnym łańcuszku koncha morska zawieszona, pas czerwony, za tym paciorki, i w ręku laska pielgrzymska wysoka, i ten w takim ubiorze prezentował się obojgu królestwu.

Królowa przez pobożność świadczyła mu wiele, a Król bawił się z nim, żartując z niego; uformował sobie pretensyą do ręki Damy dworu królewskiego, Panny Łubieńskiéj, i oświadczył to Królowéj. Król przez swawolę powiedział mu, że jeżeli pójdzie za ciebie Panna Łubieńska, to ci dam wielkie starostwo; ten żart wiele narobił ambarasu Pannie, przez ustawi-

czne naprzykrzanie się pielgrzyma Wolskiego, któren był frant wielki i zapalonéj głowy. On uroił sobie prowadzić wojnę przeciw barbarzyńcom; zebrawszy znaczne pieniądze, wybudował sobie fregatę, i nająwszy Kapitana, podobnego sobie awanturnika i majtków, zawiesiwszy banderę hiszpańską, popłynął atakować Algierczyków; ta okoliczność ledwie wojny nie żrobiła między Hiszpanią i Algierem; Wolski z swoim statkiem umknął do portu papieskiego, gdzie mu skonfiskowano fregatę, a osobę uwolniono na instancyą Królowéj jakąś nie wielką za statek nagrodą.

Był Pan Komornicki, obywatel podolski, któren wyuczył kozy do ciągnienia wózka, a stado kóz tak do wózka, którym jeździł i do siebie przyzwyczaił, że go nigdy nie odstępowały; nic nie jadał, tylko od nich mleko, które sam doił. Udawał się za Proroka i za człowieka świętego, jeździł po kraju z przepowiadaniem różnych rzeczy, bałamucił nie tylko pospólstwo, ale i obywateli, i przymusił Biskupa kamienieckiego, Krasińskiego, że mu włóczyć się zakazał, kozy odebrał i nastraszył zamknięciem.

O chorobie kołtunów. W całéj Wielkiéj Polsce, Mazurach i Krakowskiém nie tylko lud pospolity, ale i obywatele obojéj płci kołtunami głowę okrytą mieli, i to przypisywali skutkowi czarodziejstw, lubo doktorowie choroby téj dwojakie przyczyny kładli, piérwsze nieochędóstwo, drugie przypisywali wodzie i klimatowi kraju naszego.

Gdym chodził do szkół w Poznaniu, był doktor Księcia Biskupa Czartoryskiego i Kanoników katedry, nazwiskiem Viner; ten był razem doktorem domu ojca mego, miał nie tylko w leczeniu doświadczenie wielkie, ale zastanawiał się i dochodził fizycznych przyczyn różnych chorób. Uważał, że wsie, złożone z gmin wyznania luterskiego i kalwińskiego, tudzież Szlachta, nie podlegali chorobie kołtuna; wszedł tedy w examinowanie, dla czego Katolicy tak brzydkiéj i nieszczęśliwéj podlegają chorobie, i doszedł, że z jedzenia oleju lnianego w czasie postów, w którym rodzi się powój, mający ziarna do lnu nasienia podobny i trudny do oddzielenia. To ziarno jest trucizną, zarażającą humory człowieka do tego stopnia, iż nie tylko włosy się wiją, guzy po junkturach formuje, ale nawet przechodzi z pokolenia w pokolenie i staje się chorobą sukcessyonalną.

Opisał Viner tę chorobę, z przyczyny jakiéj pochodzi, oddał ją Biskupowi Księciu Czartoryskiemu, któren przekonany uwagami doktora, udał się do Rzymu, i wyrobił bulę papiezką, by posty nie na oleju, ale na nabiale obserwowane były, i tę bulę w swéj dyecezyi poznańskiéj i w Warszawie publikować z ambon rozkazał. Ta bula nie była przyjęta po większéj części przez klasztory i fanatyków, koniecznie utrzymujących, że choroba kołtunów pochodzi z czarów, bo gdyby tych zabrakło, nie byli potrzebni exorcyści, zdejmujący kołtuny, ustałyby przyczyny ofiarowania się na miejsca cudowne, i czynienia ofiar w różnych wotach.

Znałem Podkomorzynę poznańską, pozostałą wdowę ostatniego z domu Czarnkowskich, Panią bardzo majętną, którą opanowali Jezuici, i wszystkie intraty z dóbr jéj zabierali; mimo wielu pochlebstw, które jéj czynili, wyperswadowali jéj, że chodząc po pokoju, może odbyć pielgrzymkę do grobu Pańskiego do Jerozolimy, z rzetelnym odpustem, przeznaczonym dla tych, którzy pieszo tę podróż odbywali i wyrachowali na wiele mil jéj dom od Jerozolimy jest odległy; ile ta podróż zabierze czasu, aż do godzin wyliczono, a w Rzymie wyrobili dla niéj odpusty, jak gdyby istotnie tę podróż odbywała.

W Poznaniu ulice całe zamieszkałe były przez dewótki jezuickie, wdowy bogate.

Jezuici w ręku swoim trzymając publiczną edukacyą młodzieży z familii najznaczniejszych, najlepiéj uczących się i najdowcipniejszych, namawiali do swego zakonu, a gdy którego namówili, choćby przeszedł wszystkie klassy nauk, które dawali, wstąpiwszy do zakonu, musiał pójść do piérwszéj klassy i stopniami postępować aż do skończenia teologii; to dowodzi szczerość nauk w ich publicznéj edukacyi. Klasztory wszystkie z wielkim zapałem ucząc się jedne filozofii Arystotelesa, inne Bakona, zajadliwe między sobą wiedły dysputy, które rozrywać między niemi musiały trąby.

Kraj cały dzielił się na trojaką naturę dóbr: 1. Dobra stołu królewskiego; 2. dobra Rzeczypospolitéj, rozdawnictwu Króla ulegające; duchowne do Biskupów, opactw, katedr i klasztorów należące, i 3. na dobra ziemskie, to jest dziedziczne szlacheckie, których nie dochodziła szósta część w kraju całym, i te obarczone były długami duchownemi, dziesięcinami kościelnemi i opłaceniem pogłównego, którego Województwa ruskie nie płaciły, i zrywały sejmy, kiedy się Województwa polskie dopominały od nich koekwacyi podatków.

Podskarbiowie w swym ręku trzymali dochody skarbu całego, z obowiązkiem rachowania się zgromadzonym na sejmie stanom Rzeczypospolitéj.

Od opłacania cła na komorach Szlachta wolną była; pod tym pretextem Żydzi i kupcy znajdowali Szlachtę, którzy dla nich, pod swém imieniem i swemi brykami, zakupione na jarmarkach lipskich, frankfurtskich etc. towary do swych domów sprowadzili, i tam kupców, podług ausztuków na jarmarkach im danych, towarami dzielili, a woły, konie i inne produkta krajowe, opłacie cła uległe, Szlachta z wojskowymi pod swém imieniem przyprowadzali, biorąc opłatę od kupców mniejszą, niżeli cło wynosiło, a dla tego Województwa ruskie, które prawie pół Polski w przestrzeni zajmowały, i

w nich dobra ziemskie dziedzictwem magnatów były. Ci nigdy nie chcieli pozwolić na porównanie podatków z Województwami polskiemi. Królewszczyzny, to jest, dobra Rzeczypospolitéj, trzymali magnaci, mając sobie nadane od Królów miliony intrat, które brali pod tytułem zasług; żony ich przez przywiléj juris communicationis, a dzieci małoletnie przez przywiléj cessionis, tak dalece, że przez kilka pokoleń, dobra Rzeczypospolitéj w jednym zostawały domu familii. Nie wolno było dóbr Rzeczypospolitéj przeistaczać na ziemskie, bez nadania pozwolenia przez sejmy, tudzież duchownych dóbr bez pozwolenia Rzymu i Rzeczypospolitéj, a dobra ziemskie pomniejszały się zapisywaniem na nich sum na legacye i fundusze kościelne, zachowane przez testament. W roku 1760. nie wiem, czy można było narachować na Wołyniu, Podolu, w bracławskiém i kijowskiém Województwie właścicieli dóbr 40; najprzód prawie cały Wołyń był ordynacyą ostrogską, to jest: miasta Zasław, Ostróg, Dubno, Zwiakel, Sławuta, Białogródek, Pieków, Tetiów, Stary Konstantynów, Kuzmin, z innemi miasteczkami i kilkaset wsiami; te były ostatniego Ordynata Księcia Sanguszki, Marsz. nadw. lit. Ogromnego Księstwa zbarawskiego i dóbr Tarnopolszczyzny zwanych, bardzo rozległych, Niemierowa, Ładyżyna, Berszadczyzny, był dziedzicem Potocki, Wojewoda poznański. Książę Radziwiłł był dziedzicem dóbr nad rzeką Konetą, Starymiem aż w Polesie; Lubomirski dóbr nad Tasminą rzeką, Smilańszczyzna zwanemi, i nad rzeką Dniestrem.

Wojska nie było Rzeczypospolitéj i 12 tysięcy, Hetmani władzę nad nim absolutną mieli, każdego wojskowego życia był Panem Hetman.

Marszałkowie koronni strzegli bezpieczeństwa Króla i byli Sędziami najwyższymi sądów swoich marszałkowskich. Kanclerze pilnowali pięczęci, i sądzili wszystkie spory o ważność przywilejów, o granice dóbr ziemskich z dobrami królewskiemi i królewszczyznami wszelkiemi, i należeli do traktowania królewskiego z dworami ościennemi.

Handlu, ni poczt, w kraju nie było, prócz do Drezna, Rygi i Lwowa. Zostawała Polska w anarchii największéj, zawojowana przez magnatów własnych, posiadających dziedziczne dobra, trzech części kraju całego i z szafunku królewskiego cztery części dóbr narodowych.

Partyi oppozycyjnéj, jaka jest w Anglii, nie było w Polsce, bo nikt z magnatów patryotyzmu nie miał, wszyscy się starali mieć przychylnego dla siebie Króla przez Ministra, któren nim rządził, dla odbierania łask królewskich w starostwach, godnościach i urzędach.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nagrobek Rafała z Tarnowa, Kasztelana wojnickiego, zmarłego 1441 roku.

Przeworsk, miasto w Galicyi, należało od wieków do sławnéj w dziejach narodu naszego rodziny Tarnowskich. Spytko z Tarnowa wyniósł w r. 1393. wieś naówczas Przeworsk do rzędu miast, nadawszy mu prawo magdeburskie, a Władysław Jagiełło nadanie to potwierdził w r. 1394. Rodzina ta chowała w 15m wieku w tutejszym kościele parochialnym Księży Kanoników regularnych zwłoki zmarłych członków swoich. Załączona tu rycina wyobraża nagrobek Rafała z Tarnowa i Jarosławia, Kasztelana wojnickiego, Generała, Starosty ruskiego, zmarłego 1441 roku. Nagrobek ten leży przed wielkim ołtarzem w podłogę wprawiony. Blisko tego nagrobku na ścianie po stronie Ewangelii wisi obraz, (którego rycina znajduje się w Nrze 29. roku dziewiątego pisma tego). W koło tego obrazu czytamy napis: „Magnificus. do„minus. raphael. de. iarosłav etc. castellanus et „capitaneus. sandomiriensis. nec non marsalcus. „regni. polonie. obiit. vigessima. secunda. die. „mensis. decembris. Anno. domini. millessimo „quadringentessimo. nona (gesimo).“ Jestto więc obraz nagrobkowy Rafała z Tarnowa i Jarosławia, zmarłego w 1441 r. Przedstawia on Matkę najświętszą z dzieciątkiem Jezus w środku stojącą, otoczoną promiennemi obłokami. Po jéj prawéj stronie Rafał archanioł pokazuje N. Pannie klęczących dwóch Tarnowskich, ojca i syna, przy których chełm i tarcz z Leliwą złożona; po lewéj stronie N. Panny stoi ś. Anna trzymając w ręku rozdzielone jabłko granatu i wskazując na dwie Tarnowskie, córki zmarłego, klęczące z matką, przy któréj jest tarcz z herbem Korczak.

Legendy starego Marcina.

(Ciąg dalszy.)

— Dobry Hetman, Panie Kochanku, z mego Pana Ojca, gdy takich ma szpiegów. To wiecie zapewne już, że Wołodkowicz na śmierć osądzony? —

— Nie, tego jeszcze nie wiedziałem, i Xiążę Hetman, gdym z zamku wyjeżdżał, nie wiedział; ale jam to przewidywał, bo podług prawa stać się inaczéj nie mogło. —

— Nie mogło! nie mogło! otoż ja w tém, Panie Kochanku, że inaczéj się stanie. No, o cóż więc idzie? Panie Podstoli! mów prędko, bo wnet siadam na konia. —

— Czy nie mógłbym na osobności pomówić z Xięciem? —

— Niéma czego się wstydzić, Panie Podstoli; wszyscy tu są przyjaciele domu naszego, mów więc co masz. —

A zatém zaczął perorować Pan Rupejko przed Xięciem, jak przed Trybunałem. Już jego ora-

cyi spamiętać nie mogłem, choć pilnie i ja i wszyscy słuchaliśmy; ale treść rzeczy była taka: że Xiążę, jako Hetman, zakazuje Xięciu Miecznikowi mięszać się w tę sprawę, a jako ojciec, zaklina, aby pamiętał na swoje imię: że Radziwiłłowie wiernie zawsze i poczciwie służyli krajowi; że salwowali często niewinność i sprawiedliwość, ale nigdy nie bronili takiéj swawoli i występku, na który horret animus! że gdy Xiążę Hetman odmówił powiększenia warty trybunalskiéj, a Wasza Xiążęca Mość odbijesz teraz delikwenta, który napadł na Trybunał i któregoś sam na Deputata wykierował, cała zatém wina téj akcyi padnie jak na syna, tak i na ojca, a cały świat suspikować będzie zmowę obudwóch z Wołodkowiczem na rozpędzenie Trybunału, w którym zwłaszcza kilka spraw Radziwiłłowskich wątpliwego znaczenia indukować mamy. Słowem, Rupejko tak ze wszystkich stron dojeżdżał Xięcia, tak konwinkował, tak kruszył, że nakoniec Xiążę impetycznie zawołał:

— Dość, Panie Kochanku, dość! Dajże radę! na miłość Boga dajże radę! —

— Rada krótka i gotowa, Mości Xiążę! zaniechać Mińska, wrócić do Nieświża, uspokoić ojca. —

— To nie podobna, Panie Podstoli; to nie podobna! Prawda, zgrzeszył Wołodkowicz i ciężko zgrzeszył, ale czyż dla tego ma umierać? Nikogo nie zabił, pokrzywdzonym czyni deprekacyę. Ja Dłuskiemu złotą rękę odleję. Występek, jak nazywacie, status, niech w wieży fundowéj odpokutuje... Ale śmierć, Panie Kochanku, śmierć! Nieszczęśliwy człowiek! jego cała nadzieja we mnie! on mój od dzieciństwa przyjaciel! Panie Podstoli! radź inaczéj! ja ci odwdzięczę! dalibóg odwdzięczę! Panie Kochanku! —

— To poczciwe serce naszego Xięcia, gadali między sobą Ichmość tam obecni; nie żal dla takiego zdrowie i życie ryzykować! —

— Trudna insza rada, Mości Xiążę! rzekł Pan Podstoli, zwłaszcza po dekrecie. —

— Czy nie możnaby dopaść do Sapiehy? —

— In triduo do Bychowa i nazad, rzecz niepodobna; a nakoniec cóż to pomoże, on dekretu trybunalskiego nie odmieni, i tém spokojniejszym będzie, że pisał do Xięcia Hetmana przez umyślnego, który dziś zrana odjechał z Nieświża z rezolucyą; a w niéj Xiążę Hetman zaręcza, że najmniéj ochraniać Wołodkowicza nie myśli, że każdego gwałciciela spokojności krajowéj ma za swego nieprzyjaciela. Toż samo odpisał i do Pana Vice-Marszałka Morykoniego, który także odzywał się do Xięcia Hetmana. —

— A więc nie masz sposobu? — Xiążę zapytał patrząc w oczy Rupejce, który wzrok ku ziemi spuścił i dumał. Wszyscyśmy milczeli....

— Trybunał, Mości Xiążę! zaczął znowu Pan Podstoli, odmienić swego dekretu nie może. Ale!... ale!... —

— Cóż? Panie Kochanku! cóż? dla Boga! mów! —

— Ale mógłby suspendować exekucyę dekretu do jakiegoś terminu, a natenczas starania u Majestatu... —

Nie dał mu dokończyć Xiążę, rzucił się Rupejce na szyję, ściskał go, całował.

— Panie Kochanku! bierz co chcesz, byle téj suspensyi dopiąć. Potém wszystko łatwiéj pójdzie. Jedź natychmiast do Mińska. —

— Widzisz, bo Xiążę, że jest jeszcze cyrkumstancya, nad którą mnie szczególniéj zastanowić się trzeba. Xiążę Hetman publice oświadczył, że ktokolwiek directe lub indirecte robić będzie jakiekolwiek influencye w téj sprawie, używając imienia Radziwiłłowskiego, już więcéj progów nieświżskich nie przestąpi. —

— Bądź spokojny, Panie Kochanku! ja ojca łatwo przebłagam, zwłaszcza, gdy się rzecz bez raptu obejdzie. A i moja przyjaźń, Panie Podstoli, warta wszelakoż jakiéjkolwiek animadwerssyi. —

Pan Rupejko znał dobrze, że lepsze słońce wschodzące, niżeli zachodzące; rzekł więc:

— Coż mam robić? skarbiąc sobie względy Waszéj Xiążęcéj Mości, wraz jadę, dobiję się choć w nocy albo równo ze dniem do Mińska i będę pracował; a jeżeli mnie się uda skłonić Morykoniego... —

— A jeżeli się nie uda? — odezwał się ktoś z kompanii.

Na to zawołanie, jakbyś insperate z pistoletu nad uchem palnął, Xiążę stanął jak wryty, Rupejko spuścił głowę i wszyscy oniemieli.

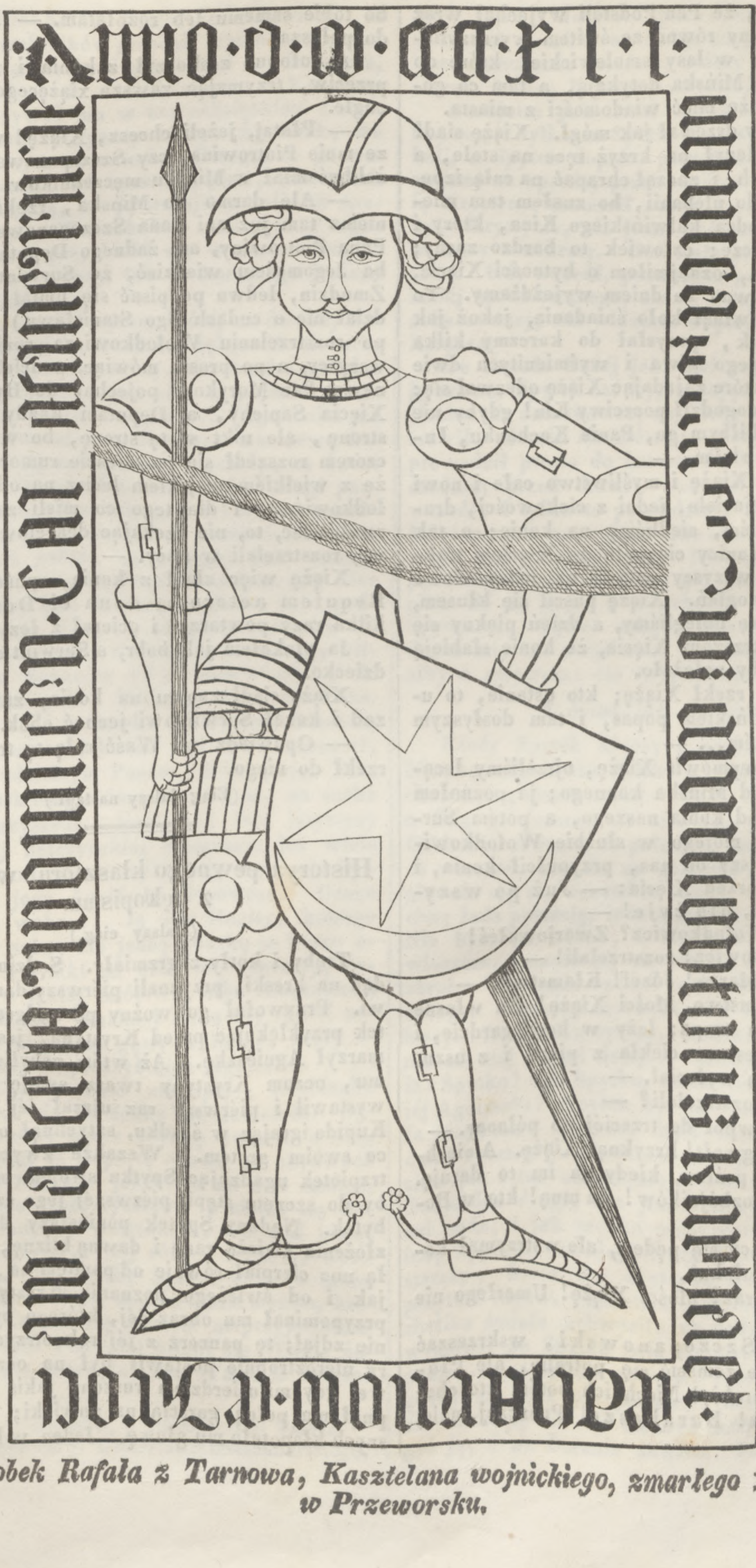
— I pewnie się nie uda, dodał tenże Jegomość, kiedy będzie rzecz z Panem Starostą Morykonim. Ja go znam dobrze: to człek twardy jak stal, czyli, co na jedno wychodzi, uparty jak kozieł. —

Wszystkie więc nadzieję i Xięcia i nasze w łeb wzięły razem, patrząc zwłaszcza na minę Pana Rupejki.

— Jednakowoż, Mości Xiążę! odezwał się nakoniec i Pan Sołohub, niech Pan Podstoli probuje szczęścia; projekt jego jest mądrym: bo tym jedynie sposobem możnaby salwować Wołodkowicza. Niech jedzie i operuje; my tymczasem zostańmy tu i czekajmy. —

— Nim Wołodkowicza rozstrzelają, Panie Kochanku, albo nim Xiążę Hetman tu przyszle Husaryę, aby nas do Nieświża odprowadziła. Rozumna rada! niéma co powiedzieć! Nie, Panie Kochanku! niech Pan Podstoli jedzie i operuje, ale niech przytém wiedzą Panowie Sędziowie trybunalscy, że ja tuż! i że, gdy operacye nie pomogą, ja moje rozpocznę, i bodaj skuteczniejsze. —

Po długich jeszcze certamentach i radach,



Nagrobek Rafała z Tarnowa, Kasztelana wojnickiego, zmarłego 1441 r. w Przeworsku.

stanęło na tém, że Pan Podstoli wyjechał wraz do Mińska, a my równo ze świtem wyruszyliśmy na obławy w lasy smolewickie, które do samego prawie Mińska dotykają, a tam co godzina miał Xiążę mieć wiadomości z miasta.

Potém każdy drzémał jak mógł. Xiążę siadł za stołem, położył na krzyż ręce na stole, a głowę na rękach, i zaczął chrapać na całą izbę. Ja poszedłem do plebanii, bo znałem tam mieszkającego Xiędza kalwińskiego Kina, który i teraz żyje jeszcze; człowiek to bardzo zacny; rozbudziłem go, oznajmiłem o bytności Xięcia, i o tém, że równo ze dniem wyjeżdżamy. To on wnet się zawinął koło śniadania, jakoż jak tylko na brzask, przysłał do karczmy kilka dzbanów grzanego piwa i wyśmienitych dwie misy zrazów, które zajadając Xiążę odezwał się:

— Otoż nam dogodził poczciwy Kin! gdyby nie Kalwin, zrobiłbym go, Panie Kochanku, Infułatem ołyckim. —

Raniuteńko Xiążę i myśliwstwo całe i nowi przybysze przyjaciele, jedni z ciekawości, drudzy z życzliwości, siedliśmy na konie; a tak z półtorasta konnicy ciągnęło za Xięciem traktem mińskim, wszyscy gotowi na jedno słowo Xięcia choć w ogień. Xiążę puścił się kłusem, i już mil z parę ubiegliśmy, a dzień piękny się zrobił, gdy ostrzeżono Xięcia, że konie słabieją i że wytchnąćby należało.

— Nic to, rzekł Xiążę; kto ustanie, to ustanie; pod Mińskiem popas, i tam dosłyszym Rupejki, a potém... —

Ledwo to wymówił Xiążę, ujrzeliśmy lecącego ku nam od Mińska konnego; ja poznałem zdaleka naprzód konia naszego, a potém Surwinta, kollegę mojego w służbie Wołodkowicza. Postrzegłszy on nas, przypuścił konia, i doskoczywszy przed Xięcia: — Już po wszystkiém! rzekł, nie żyje! —

— Kto? Wołodkowicz? Zwarjowałeś!

— Wołodkowicz! rozstrzelali! —

— Jezus! Marya! Józef! Kłamstwo! —

— Nie kłamstwo, Mości Xiążę! Na własne oczy widziałem trupa; leży w kordygardzie, i krew gorąca jeszcze ciekła z piersi i z uszu, gdym z Mińska wyleciał. —

— Kiedy rozstrzelali? —

— Dziś o wpół do trzeciéj po północy. —

— Gwałt! gwałt! krzyknął Xiążę. A niechże mię ziemia pożrze, kiedy ja im to daruję. Wygubię tych rozbójników! Za mną! kto w Boga wierzy! —

I chciał puścić się pędem, ale wstrzymał konia za cugle Sołohub.

— Po co teraz? Mości Xiążę! Umarłego nie wskrzesim. —

— Ja nie Szczepanowski, wskrzeszać nie umiém, ale zemścić się potrafię, ale Piotrowinów narobię! Niech ich potém kto chce wskrzesza. Ha! Barabasze! Puszczaj mnie, bo tobie samemu łeb rozpłatam. — I rwał się do pałasza.

A Sołohub zeskoczył z konia i stanął naprzeciw, trzymając zawsze xiążęcego konia za cugle.

— Płataj, jeżeli chcesz, Xiążę! woléj zrób ze mnie Piotrowina, czy Szczepanowskiego, niżelibyś miał w Mińsku męczenników robić. —

— Ale darmo do Mińska, rzekł Surwint, niéma tam już ani Pana Szczepanowskiego, ani Pana Piotrowiny, ani żadnego Deputata, (trzeba Jegomościu wiedzieć, że Surwint poczciwy Żmudzin, ledwo podpisać się umiał i nie wiedział nic o cudach Śgo Stanisława), bo wraz po rozstrzelaniu Wołodkowicza rozjechali się wszyscy, a po prostu mówiąc, pouciekali, i sam nawet Pan Morykoni pojechał do Bychowa do Xięcia Sapiehy, a Deputaci każdy w swoję stronę, ale nikt w tę stronę, bo wczora wieczorem rozszedł się po mieście rumor, że Xiążę z wielkiém wojskiem lecisz na odbicie Wołodkowicza, i dla tego co mieli za trzy dni rozstrzelać, to, nie czekając dekretowego terminu, rozstrzelali w nocy. —

Xiążę więc zlazł z konia, spuścił głowę, Requiem aeternam dona ei Domine! po kilka razy powtarzał i ocierał z łez oczy.

Ja płakałem jak bobr, a Surwint chlipał jak dziecko.

Xiążę siadł znowu na konia, zawrócił nazad i kazał Surwintowi jechać obok.

— Opowiedz mi Waść całą tę tragedyę — rzekł do niego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Historya pewnego klasztoru, wypisana z rękopismu.

(Dalszy ciąg.)

Trąby i kotły zagrzmiały. Sędziowie nie idąc na kreski, przyznali piérwszy dank Spytkowi. Przywołał go woźny po nadgrodę. Spytek przyklękując przed Krystyną, jeszcze sobie marzył Agniészkę. Aż wtém uchyliwszy chełmu, oczom Krystyny twarz swoję na widok wystawił i piérwszy raz ujrzał jéj oblicze; a Kupido igrając w środku, sztychnął obojga serce swoim grotem. Wszakże zwyczajnie jak trzpiotek ugadzając Spytka swojém ostrzem, iżby do szczętu stępił piérwszéj jego czułości zabytek. Nędzny Spytek poniósłszy do swojego złożenia świeżą ranę i dawną bliznę, przez całą noc cierpiał równie od pamięci na Agniészkę, jak i od świeżego poznania Krystyny. Owę przypominał mu obraz jéj, którego był z piersi nie zdjął; tę pancerz z jéj rąk otrzymany, który nieroztropnie postawił był na oczach. Nawet gdy miłosierdziem ruszony jakiś duch, sypnął mu pełną garścią na powieki; dwóch inszych kłopotało mu głowę. Jeden w kuséj suk-

manie, żółto-brody Judasz, co Zbawiciela za trzydzieści srebrników przedał, wyniósł go gdzieś na wysokie górzysko i pokazywał mu hrabstwa, zamki, stolice do odziedziczenia z Krystyną. Drugi ukazywał mu w czarnoksięzkiém zwierciadle smutne rozpaczy ofiary, Agniészkę we łzach i jéj ojca na marach. Owego, co go mamoną kupował, od razu odpędził, nawet tak zmiętosił pięścią, że ją nazajutrz całkiem spuchłą zobaczył. Wszakże bies zemknąwszy z gorącego prawa, przyoblekł się w postać Rugiera, i wnet wróciwszy, tak do marzącego jeszcze Spytka mówił:

Biedzisz się bohatyrze, któréj ze dwóch, Jagnie albo Krystynie, masz dać rękę. A nie kruszyłeś drzewca za Krystynę, nie sunąłeś na plac po haśle wydaném przez nią, że pójdzie za tego, który jéj pancerz wygra?... Agniészka ma twoje poczciwe słowo; Krystyna ma słowo honoru. Tam cię cztéry uszy słyszały, tu świat widział... Rozwinął potém z trąbki długi pargamin, zamalowany imionami i herbami przodków Krystyny. Patrz na to prześwietne drzewo. Gdzież gałąź, na któréjby jaki antenat nie wisiał? Ot Segest, Arminiusza brat. (1) Bez niego zjedliby byli djabła Rzymianie, żeby podbili Germanią. Ten, co tu jeszcze miecza do pochew nie schował, wyrznął podczas stypy kilka tuzinów Supanów (2) słowiańskich, do siebie zwabionych. Widzisz tego brodacza. Był rządcą tego tu zamku za Cesarza Konrada. Jak Rzesza zaczęła kiwać pod nos Cesarzowi, ogłosił się udzielnym Panem i dziedzicem. Nikt żywy z workiem, z żoną, z życiem, na sucho tędy nie przyszedł. Herbowny lew Krystyny po całéj téj herczyńskiéj dziczyznie już wiele wieków ryczał, niżeli wykłół się z gniazda Spicymirów i jego Agniészki ślepowron. Czego się jeszcze wahasz? Ja sam Rugier, którego masz przed sobą, nie jednę gburkę na koszu osadziłem. Ale nikt mi oczu nie zapruszy, żebym kiedy u jakiéj Królowy, albo Księżniczki, miał się potknąć. Machnął torbą zły duch! natychmiast z niéj dym gęsty wyleciał, który oślepił Spytka, a spłoszył cień Agniészki.

Kiedy Spytek mrzał nie śpiąc, Hrabianka nawet jeszcze się do łóżka nie zabierała. Ojciec postrzegłszy przez szybkę światło u niéj, poszedł; zastał ją z opartą głową na obydwóch rękach. Ej Krzysiu! jakżeś to mi dziś smutna, wszakże samo czoło rycerzów o ciebie się dobijało! Aj tatuniu! westchnęła, nie pod mojąć bramą zwyciężył.... Oj córko! córko... westchnął ojciec. Dobrzećby było i tobie z takim zięciem, westchnęła, i mnie z takim mężem, któryby snadno oparł się naszym nieprzyjaciołom. Fuknął staruch: Panienko pilnuj się Waść, żebyś daleko nie zabrnęła! nie Waści to obierać sobie męża! Jeszczeć ojciec żyw... odszedł.... Zostawił wszakże na swoje miejsce dwóch katów: powinność i miłość, którzy z sobą się szamocąc, biedną Krystynę na dwoje targali.

Nazajutrz już trzeci raz przedzwoniono do kaplicy, i tylko na Spytka wszyscy rycerze czekali, a Spytek dopiéro porwawszy się równemi nogami ze spania, przez zapomnienie wziął szarfę Krystyny, zostawił obraz Agniészki. Pilniéj było Krystynie, niż jemu być nabożną; słuchała mszy z zakraty. Gniewała się na jego lenistwo. Gdy wszedł, postrzegła go do razu i coś mniéj spodziewanego, szarfę swoję na nim. To zobaczywszy, nie widziała więcéj, ani mszy, ani Księdza.

Po chwale Bożéj jaki taki pojechał w swoję stronę, Spytek zaś wyjeżdżając nie wyjeżdżał. Hrabia nie doczekawszy się, żeby do niego przemówił, nic też nie mówiąc, wziął go za rękę, prowadził prosto do lamusu do Krystyny, przyszedłszy przed drzwi, zostawił go tam; sam wszedł, i tylko to powiedział: Krzysiu! wzięłażeś przecie na rozum. Nie frasuj się, będziesz miała męża z mojéj ręki. Nieboga coś bąkała, podobno, że jéj w domu nie tęskno, że jéj nie pilno iść za mąż, i westchnęła nad odjazdem Spytka.... Ojciec udając surowość, szarpnął drzwiami, toż utrąciwszy Spytka, rzekł, i oto niby z gniewem: oto twój mąż... odszedł.

A oważ jak się ma?

Kiedy Spytek klęczy i czołem bije przed Niemką, Agniészka daleko z tamtąd ziewa, śłocha, stęka, pości, suszy. Środy i Piątki mijają, a Bóg go jeszcze do niéj nie przyprowadził. Co dzień, co rano, co południe, co śród wieczerz, co wieczór, biegała na gościniec, patrzyła, oglądała się na wszystkie strony, nadstawiała ucha; lada postacią, lada szmérem cieszyła się.... Nie było go widno, i nie było. Aż jednego wieczora, łysnęło jéj się coś na kształt oręża i zbroi. Wyciągła opodal ręce uściskać swojego miłego. Przysięgłaby była, że to on, nie kto inszy. Nadjeżdża rycerz, wszakże kieruje konia od niéj i goni daléj... Bieży za nim! woła: Spytku! ach Spytku, czemu uciekasz od twojéj Agniészki? Spytek był na turniejach u Grafa Hermana i piérwszy dank odniósł, odpowiedział rycerz; jam odniósł wtóry. Spieszę się choć już i ten odnieść mojéj kochance u nóg.... Nadjeżdża drugi, ten już kwaśny, ani słyszy, ani gada, i jak prędko przekropiło go po uszu imię Spytka, czwałuje wprzód co nóg koniowi starczy; byłto ów Zigfryd, któremu Spytek przytarł rogów. Przecież Agniészka choć pacholika śmiało uchwyciła za uzdę, który, gdy wymówił po Spytku imię Krystyny, omdlała... padła... ani byłaby powstała i do domu zaszła, gdyby się był przypadkiem Giermek jéj ojca nie nawinął, lub też nie był dość silnym dźwigać ją, i na baranie zawlec. Puszczam mimo

(1) Zdrajca Germanów, o którym czytaj Tacyta.
(2) i. e. Wojewodów. Ob. Dytmara mersenburskiego.

drobne okoliczności, których się snadno domyślić; naprzykład: jak się matka przelękła, jak ręce łamała, jak ryczała, jak włos targała, jak piers biła nad córką niemal bez duszy, jaka powstała wrzawa, jaki się wszczął w całym domu rozgardyasz, kiedy ten lał konwią wodę na zemdlałą, ów jéj do nosa balsamkę przytykał, tamten niebogą trząsł, inszy na nią wrzeszczał, inszy po Księdza biegał; ta, tamta, owa, już to wzywała wszystkich Świętych na ratunek, już téż mówiła wieczny odpoczynek, świeć jéj światło wiekuiste; jako nakoniec po długim czasie Agniészka odetchnęła, piersiami robiła, powieki rozwierała, oczy wzniosła w górę, westchnęła: Spytku! ach Spytku! toż na nowo i zwarła i otworzyła powieki, i obumierała i stękała. Stary zaś Spicymir na samą tę tak smutną scenę z podróży nadjechawszy, nie mógł się długo dopytać, coby się stało... Dopytywał się; dopytawszy się, rozpaczał, z rozpaczy zapomniał na swoje siedm krzyżyków lat, na ręce, że mu drzały, na nogi, że nie statkowały, na całego siebie, że dygotał; co tchu wecował stępione szablisko, i ocierał zardzewiałą zbroję. Dla tém téż większego pośpiechu, chociaż Homer Agammemnona po członku ubiera, ja mego Spicymira władują zaraz w kirys, w rękawice, w szyszak, ani kulbacząc mu rumaka, stawiam go co tchu przy moście, w zamku Spytka, dokąd już był Spytek powrócił. Most został zwiedziony... kilkaset razy zachrapiał: puszczajcie! kilkaset razy gruchniono nazad: precz dziadu! Nakoniec nie stało mu głosu; zaczaił się w chaszczach przy gościńcu. Rano zaś ujrzawszy z dwóchset czeredy na wesele wyjeżdżającego Spytka, wyskoczył na środek drogi. Nuż łając Spytkowi. Młody rycerz, przerażony postacią wykopanego nieboszczyka, tudzież z niedonośnych piersi warczącego, stanął wryty, jak owo Gallowie w Rzymie przed siwobródcami krzesłowymi, których łacno im było jedną szczutką na proch rozsypać. Cierpliwość tę, czyli odurzenie, poczytał sobie starzec za obelgę, zamierzył się do pochew, toż szablisko prawie mu pod samo gardło podtykał. Spytek chciał mu się tylko kapturem złożyć, wszakże jedno potrącenie wystarczyło, już na wylocie będącego ducha z ciała wypłoszyć. Agniészka nie wiedząc, co ojciec z rozpaczy przedsięwziął, i co czynił; podobnież przysięgła sobie zabić i zaginąć; przyoblekła się w zbroję, puściła się tą samą drogą co ojciec, kierowaną nieszczęśliwém przeznaczeniem, ażeby spotkała dwoje pacholików, dźwigających między końmi obwisłego trupa nieboszczyka ojca; nie ważę się nawet brać pędzla, dla odmalowania jéj żalu! od razu zapalczywość zmieniła się na mściwy fortel. Wmieszała się w orszak rycerzy, jadących na wesele Spytka, przez całą podróż o nic się nie pytając, na nic nie odpowiadając. Gdy podsłuchała, że już podjeżdżali pod zamek Hrabi Hermana, nieznacznie od nich na bok uskoczyła, zostawiwszy ich w mniemaniu, że to była jakowaś mara, nie wiedzieć z kąd się wzięła była, i gdzie znikła; a zajechawszy do chatki ubogiéj wdowy jednego wieśniaka, koło któréj szła droga od zamku do kościoła, czekając dnia ślubu, w głowie srogi zamysł warzyła; dopiéro postrzegłszy paradę tamtędy snującą się i Spytka kłusującego na rumaku w korwetach przed wozem Krystyny; porwała zbroję, w te tropy pobiegła do kościoła, przedarła się przez tłum przed ołtarz do oblubieńców. Właśnie Pan młody domawiał krzywoprzysięztwa ostatnich słów. Dobywa żelaza; niemal jednym sztychem w niego, w Pannę młodą i siebie ugadza. Jaki taki przestraszony uciekał; o nikim nie miano starania; szczególnie jeden Hrabia Konrad porwawszy córkę, ile mu siły dostarczały dźwigał ją.

(Dokończenie nastąpi.)

W e z w a n i e.

Pan Tadeusz Wasilewski, obywatel z Galicyi, zapowiedział wydanie ***Włościanina,*** mającego wyjść przy końcu miesiąca Sierpnia r. 1845., z którego cały dochód przeznaczył na wsparcie zalanych powodzią Włościan. Sierpień już dawno minął i rok 1845. za kilka dni już się skończy, a *Włościanin* szanownego wydawcy, dla zgłodniałych Włościan, dotąd się jeszcze niekazał na świat. Obawiamy się, aby tylko nie spełniło się dawne przysłowie: „Nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje."

Grudzień, 1845 r.

M. P.

Doniesienie księgarskie.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: *J. Łukaszewicz.*)